

POSZLIŚMY WŁASNĄ DROGĄ

Z ANDRZEJEM CZUMĄ ROZMAWIA WOJCIECH MUSZYŃSKI

W.M. – Trzydzieści lat temu, w marcu 1977 r., należał pan do grona członków-założycieli Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Skąd wziął się pomysł powołania ROPCiO?



A.C. – Kiedy opuściliśmy kryminał we wrześniu 1974 r. – gdzie siedzieliśmy z wyrokami za przynależność do organizacji „Ruch” – stwierdziliśmy, że ludzie, którzy podzielają nasze przekonania i gotowość do działania na rzecz wolności, jest więcej niż wówczas, gdy zamykano nas w celach. Nasze działania w „Ruchu” zostały spopularyzowane – deklarację organizacji *Mijają lata* przedrukowała paryska „Kultura”, prasa zachodnia informowała o nas i o tym, jaki jest cel naszej walki. Gdy znaleźliśmy się znowu na wolności, pojawili się u nas ludzie, dużo młodszy resztą od nas, którzy zadeklarowali wspólne działania na rzecz niepodległości Polski. Razem z kolegami z „Ruchu” postanowiliśmy wznowić naszą działalność, ale ponieważ były już inne warunki,

należało kontynuować ją w innej postaci i formie. Tym, co odróżniało naszą nową formułę od tej stosowanej w „Ruchu”, była jawność działania. To było istotnie *novum*.

Środowiska, z którymi nawiązaliśmy wówczas kontakt, były bardzo różne. My, wywodzący się z „Ruchu”, byliśmy najstarsi. Mieliśmy wówczas po mniej więcej 35 lat. Spotykaliśmy się głównie z młodymi ludźmi. Część z nich wywodziła się z gdańskiego Duszpasterstwa Akademickiego – to późniejsi działacze Ruchu Młodej Polski. Najpierw poznałem Macieja Grzywaczewskiego, później Aleksandra Halla, Janka Samsonowicza, Arkadiusza Rybickiego i innych. Kolejnym środowiskiem byli studenci z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego – Marian Piłka, Andrzej Nastula, Adam Cichocki. Ważnym ośrodkiem niezależnej myśli było środowisko późniejszej Biblioteki Historyczno-Literackiej, skupiające się wokół Jana Dworaka, Piotra Krawczyka i Bronka Komorowskiego. Wojciech Ziemiński był takim jednoosobowym oddziałem – znany jako organizator obchodów patriotycznych rocznic, bardzo dzielny i ofiarny. Dołączył też Leszek Moczulski, który mówił, że ma za sobą całe środowisko, ale dość szybko okazało się, że jest to zaledwie kilka osób. Jeden z tych ludzi, Andrzej Szomański, został później, gdzieś około roku 1977, przyłapany na potajemnym nagrywaniu naszych zebrań – dowiedzieliśmy się w ten sposób, że był agentem SB.

Znaleźliśmy też dojście do środowiska młodzieży licealnej, które w późniejszym czasie, już pod skrzydłami ROPCiO, wydawało własne pismo podziemne „Uczeń Polski”. Wszystkie te środowiska połączyliśmy, a raczej zebraliśmy w jeden nurt. Takie były początki.

W.M. – Zanim zawiązał się ROPCiO, od kilku miesięcy w Warszawie działał już Komitet Obrony Robotników...

A.C. – Wszyscy ci ludzie, z którymi miałem kontakty, zarówno przed oficjalnym powołaniem ROPCiO, jak też wówczas, gdy ruch już działał, równolegle wspierali Komii-

tet Obrony Robotników. Jednak naszym pragnieniem było stworzenie i przedstawienie społeczeństwu innej formuły i celu działania, niż czyniło to środowisko Jacka Kuronia. Mieliśmy szacunek dla ludzi KOR – nie pozwalaliśmy sobie na żadne wojny czy spory, mimo pewnych smutnych rzeczy, które spotkały nas z ich strony. Była między nami istotna różnica. KOR zwrócił się do społeczeństwa z apelem o pomoc lub objęcie opieką represjonowanych – chcieli służyć pomocą biednym ludziom, tak brutalnie potraktowanym przez władze, gdy odważyli się zaprotestować w czerwcu 1976 r. To bardzo szlachetny gest, ale to była formuła działań doraźnych. My chcieliśmy działać w szerszej perspektywie, wiedzieliśmy z góry, że będziemy proponowali obronę niezbywalnych praw człowieka i obywatela, których nikt nie może odebrać – w tym prawa do wolności i prawa do powoływania swoich władz państwowych w drodze wolnych wyborów. Kwestię praw człowieka wiązaliśmy od początku z chrześcijańską koncepcją człowieka i nauką społeczną Kościoła katolickiego.

Już po kilku tygodniach istnienia KOR wiedzieliśmy, że komunistom udał się pewien socjotechniczny zabieg propagandowy. Grupą dominującą w KOR byli ludzie, którzy kiedyś należeli do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, niektórzy z nich żywili jeszcze złudzenia co do obłudnej ideologii zwanej socjalizmem. Widzieliśmy, że duża część społeczeństwa przyjęła podsufianą przez propagandę komunistyczną twierdzenie – KOR to jedna z grup partyjnych, która będzie wspierać jakąś kolejną frakcję w łonie PZPR w jej walce o władzę. Tworzony przez nas Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela adresował swoją zachętę do działań na rzecz niepodległości do tych ludzi, którzy brzydzili się widokiem pezetpeerowskich koterii i nie mieli ochoty słuchać o socjalizmie z ludzką twarzą.

W.M. – Czy próbowaliście podjąć bliższą współpracę z KOR?

A.C. – To było trudne. Pierwotnie chcieliśmy powołać Ruch Obrony Praw Człowieka wspólnie z KOR. Prowadziliśmy rozmowy z Jackiem Kuroniem i innymi przedstawicielami tego środowiska. Szybko okazało się, że jakkolwiek Jacek chciał, żebyśmy pracowali razem, to jednocześnie chciał mieć absolutną kontrolę nad wszelkimi działaniami w przyszłości. Nie mogliśmy się na to zgodzić – nie dlatego, że chcieliśmy toczyć z KOR jakąś wojnę czy kłótnię. Mieliśmy różne środowiska, każde miało własny profil działania, własne metody – nie chcieliśmy nic nikomu narzucać siłą albo do czegoś zmuszać. Widząc tego rodzaju próby dominacji u Jacka i jego przyjaciół, bez możliwości jakiegokolwiek dyskusji – bezwzględnej kontroli nad organizacją mającą połączyć nas i KOR – postanowiliśmy rozpocząć działalność osobno. Podkreślam, bez żadnych agresywnych zamiarów w stosunku do KOR.

Zanim jeszcze został powołany KOR, dysponowaliśmy własnym powielaczem woskowym, co na owe czasy było absolutnym ewenementem. Przedtem pracowaliśmy na powielaczach hektograficznych, spirytusowych, mało wydajnych. Ten powielacz pozwalał nam na szybką produkcję dużych nakładów ulotek i drukowanie pism, co było jeszcze istotniejsze. Powielacz dał nam Jerzy Giedroyc, a my przerzuciliśmy go na teren Polski przez Tatry. Początkowo, za naszym przyzwoleniem, drukowane były na nim komunikaty korowskie, niedługo później produkowaliśmy na nim już własne wydawnictwa – najpierw pismo „U progu”, później „Opinię”, no i oczywiście „Bratniaka”.

W.M. – Współistnienie obu opozycyjnych organizacji nie było łatwe. Po warszawskich (dodajmy – „korowskich”) salonach chodziły plotki, że ROPCiO, najłagodniej mówiąc, ma powiązania z SB. Jaka była pana reakcja?

A.C. – Nasz stosunek do KOR od początku był pełen szacunku, cechowała go chęć pomocy, czego wyrazem było upowszechnianie ich wydawnictw. Jednak w 1977 r., kiedy bezpieka aresztowała ich głównych działaczy, nastąpił nieprzyjemny zgrzyt. Halina Mikołajska w jednym z wywiadów powiedziała takie niezręczne zdanie, że co do ROPCiO, to „jest tam parę znaków zapytania”. Była to zawołowana sugestia, że jest to organizacja w jakiś sposób powiązana z SB. Mikołajska mówiła mi później, że była wtedy zmęczona, nie znała się na polityce, a kiedy nastąpiły aresztowania, musiała stać się rzecznikiem KOR i udzielać wywiadów dla zachodniej prasy. Powiedziała mi też, że wypowiedź ta dotyczyła jednego z naszych kolegów, Leszka Moczulskiego, o którym wiedziała od swoich znajomych, że ma kontakty z bezpieką. Na początku nie dawaliśmy temu wiary i gniewaliśmy się na tamto środowisko, że taką sugestię o nas pozwolili sobie wypowiedzieć przed prasą zagraniczną. To poszło do Wolnej Europy i rozniosło się szeroko. Bardzo nas to zmartwiło, ale nadal byliśmy bardzo aktywni.

Nasza działalność rozwijała się, dołączali nowi ludzie, powstawały nowe czasopisma, np. pismo dla wsi „Gospodarz”, powstawały punkty konsultacyjno-informacyjne. Po pewnym czasie stosunki się poprawiły. Nawet otrzymałem pożyczkę od KOR na wydanie nowego pisma. Jesienią 1979 r. zorganizowaliśmy wspólnie z KOR głodówkę protestacyjną przeciw uwięzieniu naszych kolegów z Czechosłowacji. Starłem się dbać o to, żeby stosunki z KOR były dobre, mimo że niektórzy koledzy z ROPCiO mieli mi to za złe. Mają zresztą do dziś – mówią, że wspierałem rewizjonistyczne skrzydło w PZPR, i patrzę na mnie nieco „bokiem”. Ale ja się tym nie przejmowałem, poza tym mój przyjaciel Emil Morgiewicz, jeszcze ze starego „Ruchu”, był członkiem KOR. Wojtek Ziemiański i Stefan Kaczorowski także. A to byli także ludzie ROPCiO.

Cieszę się bardzo, że nie dopuściłem do walki między ROPCiO a KOR. Kiedyś, podczas manifestacji w listopadzie 1979 r., jakiś prowokator albo głupiec – trudno rozróżnić – wznosił okrzyk „Precz z KOR-em!”. Wykorzystałem tubę, którą miałem akurat w ręku, zagłuszyłem człowieka, powiedziałem, że to wspaniałe przedsięwzięcie – cele mamy podobne, tylko drogi różne, po czym wznosiłem okrzyk: „Niech żyje KOR!”, który tłum dziarsko podchwycił. Pisał o tym zresztą Jan J. Lipski w historii KOR. Nasze przyjazne działania wobec KOR, brak agresji i łagodzenie napięć, mimo oświadczenia Haliny Mikołajskiej, odbiły się echem w pełnych wściekłości i jadu raportach SB. Można je znaleźć w archiwum IPN.

W.M. – Czy udało się nawiązać kontakty z wolnym światem? Czy do ROPCiO docierała pomoc stamtąd?

A.C. – Otrzymywaliśmy pomoc z zagranicy od indywidualnych osób, a od 1979 r. także od niektórych organizacji polonijnych. Nigdy żadnej pomocy nie udało się nam natomiast otrzymać od Rządu RP na Wychodźstwie. Nie wiem do dziś, z czego to wynikało. Wszystko, co otrzymaliśmy, pochodziło z ofiar i składek indywidualnych ludzi. Największymi naszymi pomocnikami byli: Andrzej Jachowicz – mój kolega z sekcji koszykówki w Legii, oraz Bolesław Gauza, którzy mieszkali w Norwegii. Mogliśmy liczyć na Komitet Pomocy dla Opozycji Demokratycznej działający przy Kongresie Polonii Amerykańskiej – tam pracowali Bonawentura Migata i płk Jan Jurewicz. Staraliśmy się o pomoc ze środowisk bliskich

nam ideowo, zwłaszcza od Stronnictwa Pracy, niestety nic się nie udało od nich uzyskać. Nie wiem dlaczego, ale tak to właśnie było.

W.M. – Jak wyglądała sprawa penetracji SB w waszych strukturach?

A.C. – Nauczeni już doświadczeniem nabytym w tajnej działalności „Ruchu”, organizując ROPCiO, byliśmy pewni, że SB zacznie nam nasycać agentów. Dziś, gdy mamy dostęp do dokumentów z archiwum IPN, sprawy wyglądają inaczej, konkretyzują się. Wertując moje „teczki”, a jest ich bardzo dużo, nie jestem jednak zaskoczony. Dwóch najbardziej szkodliwych agentów, których SB zdołała umieścić w naszych szeregach, nie tylko donosiło na nas, ale obmyślali wspólnie z SB prowokacje, mające nas skłócić wewnętrznie i przeszkadzać w pracy. Byli to Andrzej Mazur z Łodzi i Paweł Mikłasz z Warszawy. Esbeckie analizy, do których dotarłem, stwierdzały, że jako środowisko umieliśmy się bronić przed penetracją – ich autorzy pisali to z wściekłością. Głównie chodziło im właśnie o Mazura, którego pozbyliśmy się szybko, bo w czerwcu 1978 r., oraz Mikłusza – rok później. Byli też inni, ale mniej groźni. Trzeba pamiętać o tym, że w ROPCiO działało łącznie kilkaset osób. Pojawianie się różnych wtyczek, mniej lub bardziej szkodliwych, było nie do uniknięcia.

W.M. – Nie sposób nie zapytać o konflikt między panem a Leszkiem Moczulskim.

A.C. – Proces lustracyjny Leszka Moczulskiego wykazał, że był on współpracownikiem SB, ale nie mogę powiedzieć, że był przeszkodą w pracy od momentu podpisania deklaracji założycielskiej. Prowadził jakieś gry, chodził na spotkania z SB. Wiem, że miał jakieś przedziwne koncepcje, w których było miejsce i na rozmowy z bezpieką, i na pisanie płomienych artykułów na łamach „Opinii”. Jakoś mu się to nie kłóciło – do dzisiaj nie rozumiem, w jaki sposób. Wiem natomiast, że swoimi artykułami w „Opinii” uczynił wiele dla sprawy niepodległości Polski. Były pisane w świetnym stylu publicystyki politycznej i na pewno pobudził nimi wielu młodych ludzi do działania. I tej zasługi nie chcę mu odbierać. Jak on to w sumieniu łączył – nie wiem...

Nie tylko ja miałem konflikt z Moczulskim. W czerwcu 1978 r. większość członków redakcji „Opinii” głosowała za wykluczeniem Moczulskiego z jej składu. Było kilka tego powodów. Przede wszystkim Moczulski w swojej publicystyce przedstawiał nadmiernie optymistyczny scenariusz odzyskania wolności, przepowiadając, że już tej wiosny coś się wydarzy i odzyskamy niepodległość. My nie chcieliśmy tracić wiarygodności u czytelników tego rodzaju obietnicami bez pokrycia. Drugi powód był taki, że zauważyłem jego kontakty ze środowiskiem moczarskim – Ryszardem Filipskim, Bohdanem Porębką i innymi. To była wręcz przyjaźń. Mało tego, on pisał dla nich teksty, które tu i ówdzie ogłaszały. Stwierdziłem to ponad wszelką wątpliwość. Wreszcie, na wiosnę 1976 r. opublikował w „Stolicy” tekst *Cena niepodległości*, w którym udowadniał, że gwarantem niepodległości Polski jest Związek Sowiecki, a najlepszym stróżem dobrych stosunków z Sowiecami jest PZPR – wobec tego PZPR jest gwarantem niepodległości Polski. Otrzymałem ten tekst po dłuższym czasie. Był podpisany inicjałami, a wtedy w „Stolicy” był tylko jeden dziennikarz o inicjałach „LM” – Moczulski. Oczywiście wypierał się, ale wówczas już wiedziałem, że ma on wielką umiejętność mówienia nieprawdy – co było zresztą kolejnym powodem zerwania współpracy. Nie wierzyłem mu i nie chciałem dalej z nim współpracować. Nic więcej. Żadnej anatemy nie ogłaszaliśmy.

Jeszcze raz podkreślam – z analizy moich akt wiem, że od momentu kiedy pracowaliśmy razem, tj. od podpisania deklaracji ROPCiO, nie ma żadnych oznak agenturalnej działalności Leszka Moczulskiego. Co było wcześniej, to już co innego...

W.M. – Jaki był, pana zdaniem, największy sukces ROPCiO?

A.C. – Najważniejszą rzeczą było to, że wydawaliśmy stopniowo coraz więcej pism, w coraz większych nakładach, w których głosiliśmy potrzebę wolności człowieka i niepodległości państwa. Bez wolności nie może być ani moralnego, ani materialnego rozwoju człowieka. Powtarzaliśmy to bez przerwy, nie tylko w prasie – postanowiliśmy wyjść z tym na ulice. To właśnie ROPCiO jako pierwszy w latach 1978 i 1979 wyprowadzał na ulice tysiące ludzi, m.in. w Gdańsku, Warszawie, Przemyślu, Kaliszu i Łodzi. Przez pewien czas wydawaliśmy więcej pism niż KOR, który miał przecież nieporównanie większe zasoby finansowe niż my. Oni mieli bardzo dobre kontakty z Europą Zachodnią, które wykorzystywali do promowania siebie, nie tylko w Polsce, ale i na Zachodzie. To było świetnie zorganizowane. Ubolewam, że my nie mieliśmy takich przyjaciół na Zachodzie, w konsekwencji mieliśmy mniejszy rezonans w mediach. Ale już pod koniec 1978 r. oświadczenia ROPCiO były podawane w Radiu Wolna Europa razem z oświadczeniami KOR, co jeszcze rok wcześniej było po prostu niemożliwe (z powodu tego znaku zapytania postawionego przez Halinę Mikołajską). Z upływem czasu udało się nam przebić i wyjść z izolacji. To też był nasz wielki sukces.

Kiedy przyglądam się okresowi mojego życia w ROPCiO, a dzięki aktom w IPN przeświadcza mi się on przed oczami jak film, mam satysfakcję. Ci wszyscy agenci, ogromne pieniądze włożone przez SB w obalenie nas, skompromitowanie, oplucie, aresztowania, pobicia etc. – wszystko to nie zmieniło naszego kierunku działania. A taki był cel SB. Byliśmy aresztowani pięć razy częściej niż inni, ukradli nam powielacze, ja byłem aresztowany pięćdziesiąt parę razy i miałem około 30 rewizji w domu. Inni koledzy podobnie. To były nasze straty. Ale nie udało im się wpląnąć na nas i zmienić kierunku naszej działalności. Nie daliśmy się zepchnąć z raz obranej drogi.



Rodzina Czumów z Prezydentem RP